

## Roman Zawadzki

### SKANSEN

Swego czasu ksiądz Jerzy Giedroyc wygłosił był przesławną sentencję o "dwóch trumnach, rządzących Polską", co do dziś wywołuje sporo komentarzy – i tych aprobujących, i tych złośliwych – formułowanych przez wysokie gremia opiniotwórcze najrozmaitszej maści i rangi. Przez lata pana Redaktora nieraz karcono, przypominając mu aż nadto dobitnie, że na aktualnie obowiązującej mapie polskich świątyń ducha, myśli i Historii jego miejsce znajduje się już raczej gdzieś na głuchej prowincji niż w stołecznym centrum. Myśl jednak raz rzucona, krążyła i wciąż krąży, żyjąc własnym życiem. Rzecz bowiem w tym, iż ów smutno-ironiczny *bon mot* Wielkiego Starca z Paryża zawiera w sobie owo „coś”, co intuicyjnie czuje większość ludzi w naszym kraju, a co strasznie trudno przychodzi (z rozmaitych powodów) wyartykułować *expressis verbis*. Idzie mianowicie o poczucie swoistej surrealistycznej nierzeczywistości ducha polskiego życia publicznego i politycznego, jaki przewija się w kanonie naszej narracji historycznej, którą można krótko określić jako nieustanne „*życie do tyłu*”.

Prawdę mówiąc, Polską nie tyle rządzą te trumny (choć i one od czasu do czasu postukują zbutwiałymi wiekami) ile zżera ją liszaj, któremu na imię *skansen*. Zdecydowana większość tego, co nosi szumną nazwę elity narodu (nawiasem mówiąc, z własnego nadania), była i nadal jest po większej części niczym innym jak nadwiślańską wersją salonu pani Tussaud, z tą wszelako różnicą, że w Londynie woskowe figury jeno zdobią i przyciągają turystów, u nas zaś pływają niczym bohaterowie osobliwego, upiornego "Balu manekinów", zwanego nieraz „chocholim tańcem”. Kolejne pokolenia mutantów tych *zombies* próbują swymi podrygami przekonywać zdumioną publiczność, że w sztucznie galwanizowanych

trupach kryje się jakaś prawda, mądrość i jedynie słuszna recepta na wszystkie bolączki naszego tu życia.

Znakomici historycy z ostatnich dwóch stuleci – Kalinka, Szujski, Bobrzyński, Smolka, Konopczyński, Askenazy czy Halecki – pozostawili po sobie nie tylko analizy faktograficzne lecz i rozmaite ideologie historiograficzne, wartościujące przeszłość wedle rozmaitych kryteriów: politycznych, obyczajowych, ekonomicznych, społecznych czy cywilizacyjnych. To również swoiste „trumny”, a właściwie schematy myślenia o naszej historii o sporych walorach poznawczych, lecz niewielkich walorach praktycznych. Nieustanne roztrząsanie tego, co było, albo „co by było, gdyby” może i jest ciekawe, lecz mało instruktywne z punktu widzenia rozumienia czy uprawiania bieżącej polityki w ciągle zmieniających się realiach tego świata. Nawet koncepcje Konecznego, choć przekonywująco kategoryzują stałe siły sprawcze historii, nie mogą być traktowane jako konkretne dyspozycje operacyjne dla działań, jakie trzeba podejmować „tu i teraz”. Co by więc o tym sądzić, nie sposób nie zauważyć, że wszystkie te koncepcje mają jednak znamiona ideologii, znajdujących swych apologetów i dostarczających różnego rodzaju mądralom argumentów na rzecz takiej czy innej etykiety, przyklejanej zarówno ludziom jak i całym społecznościom.

Niestety, nad naszym życiem zbiorowym krąży – niczym w *Weselu* Wyspiańskiego – widma przeszłości, nadając terażniejszości cech właśnie skansenu z jego chocholim tańcem manekinów. Obezwładniająca socjo- i psychotechnika powoduje, że jakakolwiek próba przeciwstawienia się tej maskaradzie uchodzi wręcz za bluźnierstwo. Utrwalaniu tego stanu rzeczy służy arbitralne kwalifikowanie – zarówno apologetyczne jak i stygmatyzujące – poszczególnych postaci jak całych ich grup według klucza ideologicznego, czyli opatrywanie ich rozmaitymi etykietkami – a to socjalistów, a to komunistów, a to narodowców, a to liberałów, a to chadeków, a to demokratów, a to agentów lub szczerych patriotów, i Bóg wie jeszcze kogo.. W tym skansenie człowiek bez etykiety jest nikim – kto nie ma swego

przydziału i oznakowania uchodzi za odmieńca, i to bardzo podejrzanego. Bez przyśrubowanej, ideologicznej „tabliczki znamionowej” z określonymi parametrami, przypisanymi do konkretnej przynależności, uchodzi za eksponat niepoważny, wręcz naruszający naturalny porządek rzeczy. Ot, bezpieczeństwa na paszporcie nansenowskim, „człowiek bez ideowych właściwości”. Choćby był najmądrzejszy i najzacniejszy – to jednak nigdzie nie jest „swój”.

Najrozmaitsze formacje środowiskowo-kulturowe, samo się reprodukujące na zasadzie chowu wsobnego, zawłaszczają całe właściwie spektrum narzędzi edukacyjnych, opiniotwórczych i decyzyjnych we wszystkich w zasadzie sferach życia publicznego. Cechuje je pewna szczególna osobliwość z zakresu manipulacji świadomością zbiorowości. Idzie mianowicie o kultywowanie przez te kamaryle zmitologizowanego obrazu rzeczywistości – minionej i obecnej – czyli uporczywe narzucanie i podtrzymywanie fałszywego w swej istocie kanonu myślenia o historii, polityce, o świecie zewnętrznym, a nade wszystko o psychospołecznej kondycji Polaków. Przy okazji dość sprawnie i skutecznie dbają o to, by utrwalać wiarę w doskonałość ich samych – tkwiących niczym zbiorowiska świątobliwych kapłanów na jakiejś tajemniczej "szklanej górze mądrości" i personifikujących wszystko, co w tym obowiązującym zbiorze narzucanych norm ma być rzekomo najlepsze.

Jednym z mitów, służących uprawomocnieniu wiodącej roli tych czy innych grup lub środowisk, jest przekonanie, iż oto są oni depozytariuszami tajemniej wiedzy, pozwalającej w jeden jasny sposób rozpoznawać historyczne mechanizmy zniewolenia wewnętrznego i zewnętrznego naszej krainy, aplikowanego nam przez ostatnie dziesiątki, a nawet setki lat. Degradacja państwa, całych zbiorowości, wreszcie wielowiekowe deformowanie psychiki ujmowane są w ramy owych „trumiennych” ideologii, z których rzekomo dają się wywieść takie lub inne skale ocen w zakresie powszechnego dobra i zła oraz losu Polski i Polaków *in toto*. Propagatorzy tych ideologii uzurpują sobie prawo do osądzania wszystkiego i

wszystkich wedle własnego, jakże często koniunkturalnego klucza. W sumie nie idzie jednak o artykułowanie jakiegokolwiek wyższego sensu czy wartości, lecz o narzucanie poglądów, których nie zawsze są owi mędracy samodzielni autorami. *De facto*, proceder ten służy – między innymi – kultywowaniu narracji historycznej, zbudowanej na ciągłym babraniu się w owym „życiu do tyłu”, czyli w rozpamiętywaniu złego losu, jaki był i wciąż jest naszym udziałem.

Prawdę mówiąc, zwykły człowiek ma już serdecznie dosyć tego bełkotu, nieustannie sączonego mu wszelkimi dostępnymi kanałami przekazu. Naturalnym odruchem jest „życie do przodu”, ale pomysłów na to jakoś nie widać. W Polsce nie generuje się bowiem imperatywu podmiotowości na wielką skalę, z którego wyrastałaby jakaś wielka misja kulturowa czy wręcz cywilizacyjna na przyszłość, bez oglądania się na to, co było, i dlaczego było takie, jakie było. Tymczasem bez takiego podejścia do idei państwa i narodu nie może być mowy o zmianie narracji „wiecznie przegrywających” i o zaprzestaniu grania w cudzych scenariuszach. Mieliśmy zaborców, potem obcych gauleiterów i rodzimych komisarzy, teraz mamy nawroty kupczenia Polską lub antyszambrowania na dworach obcej władzy i pieniądza. Stęchlizna, parafiańszczyzna, małość, wańkowiczowski „kundlizm” – i właśnie skansen, ze strzegącymi go strażnikami owych nieszczęsnych trumien i beneficjentami istniejącego stanu rzeczy.

Cóż, zwykły, tradycyjny skansen to nic innego jak mniej lub bardziej malowniczy relikwiarz przeszłości. Dobrze pełni swą funkcję edukacyjną jeśli stanowi muzealną enklawę wiedzy historycznej i bywa odwiedzany zarówno w celu poznawania rodzimej tradycji, jak i odnajdowania tego, co w niej dobrego, a co złego. Powinien być miejscem wydzielonym, najlepiej gdzieś na uboczu, odwiedzanym przez szkolne wycieczki i ciekawskich turystów. Cały jego wystrój winien być pouczającą ekspozycją czasu minionego, który miał swoje wzloty i upadki. Dobrze jest niekiedy tam wstąpić, żeby przypomnieć sobie, jak to „drzewiej

bywało” – i co z tego wynikło lub nadal wynika dla dnia dzisiejszego. Po wyjściu wraca się jednak do rzeczywistości, czyli do tego, co „jest” oraz do tego „co będzie”. Tak być powinno, i tak bywa na całym świecie.

W Polsce jest jednak nieco inaczej. U nas czas przeszły nie zamienia się w pozaprzeszły w trybie dokonanym, lecz wciąż pozostaje teraźniejszy w dziwacznym trybie „się dokonującym”. Nasz skansen jest wszechogarniający, tylko gdzieś tam pojawiają się wysepki normalności, którym nadaje się jednak status azylów dla wariatów, odmieńców, moherowej ciemnoty, kulturowego wstecznictwa i obskurantyzmu. Na to są również stosowne etykiety, które pełnią rolę swoistych „wilczych biletów”, wykluczających ich posiadaczy z postępowego mainstreamu „świata tego”. A wypadnięcie spod opieki Bogini Postępu i utrata łask jej kapłanów to właściwie śmierć cywilna.

Czym jest postęp w historii dokładnie nie wiadomo, lecz rzecz nie w definicjach. Ważne jest to, że co i raz przychodzi jakieś „nowe”, w założeniu lepsze od „starego”. Minione zostaje odrzucone i obalone, uznane za wadliwe lub wręcz niegodziwe, to zaś, co właśnie nadeszło i wygrało - za coś w oczywisty sposób korzystniejsze. Samo to jednak jeszcze nie wystarczy. Nie da się przecież zbyt długo podtrzymywać mitu, bazującego na opozycji starego i nowego. Potrzebny zatem staje się kolejny mit, któremu na imię "ciągłość tradycji i powrót do wartości". Konieczne staje się wytworzenie przekonania, iż owo "nowe" jest nie tylko prostą negacją "starego", lecz że w integralny sposób sprzężone jest z czymś o wiele cenniejszym, z jakimś systemem dobra ogólnego, z którego rzekomo się wywodzi. W naszym skansenie dokonuje się to przez wymianę trumien w sali głównej – raz siłą, raz intrygą, raz metodą „demokracji”, a zwykle oszustwem, przekupstwem i zmanipulowaniem świadomości ogółu, zwanego narodem (czy, jak kto woli, społeczeństwem).

Wybór jednej spośród kilku standardowych opcji nie zmienia faktu, że wciąż pozostajemy w tym samym skansenie, z tym samym kompletem trumien, a ciemny lud

szybko orientuje się, że „to już było, tylko trochę inaczej”. Niemniej kapłani „prawdy i mądrości dziejowej”, wymieniwszy się teraz *miejscami przy tych samych przecież sterownikach technik manipulacyjnych*, podejmują tę samą co zawsze narrację, tyle że eksplikowaną w terminach nowej ideologii, acz z tymi samymi epitetami i etykietkami. W tym oczywistym zbałwanieniu toczą się znów zapiekłe dyskusje na temat tego, co jest, a co nie jest "ciemnogrodem", co jest cechą "zoologiczną", a co "humanistyczną", co jest postępem, a co wstecznictwem, co wartością wyższą, a co niższą, co jest patriotyzmem, a co nim nie jest, kto jest jeszcze Polakiem, a kto nie ma prawa do bycia nim. Nad trumnami, co i raz różnie przedstawianymi w kolejnych ekspozycjach, wciąż trwa opluwanie, rozdawanie ciosów na oślep, polityczna dintojra, odsądzanie od czci i wiary, poniżanie ludzi – słowem wolna amerykanka czyli *nihil novi sub sole*. Na ekranach pojawiają się nowi pedagodzy mas, a na stołki władzy windują się nowi kombatanci i spece od finansowych przekrętów. Nowi eksperci zaczynają po swojemu „reformować” nam życie z myślą o naszym szczęściu i dobrobycie, przy okazji po raz kolejny dokręcając śrubę prasy, wyciskającej z nas nasze własne pieniądze poprzez nakładanie kolejnych podatków. Pasożytnicza biurokracja nadal mnoży się niczym przysłowiowe króliki pod pretekstem doskonalenia państwa. Oczywiście nowi przywódcy stają się pupilami globalnych potęg z wielkim dla nas pożytkiem i honorem, co pieczętowane jest uściskami dłoni na obcych salonach.

Ileż to już takich zmian przeżyliśmy! Był i stalinowski rok 1948, i gomułkowski rok 1956, i gierkowski rok 1970, potem entuzjastyczny acz oszukany rok 1980, wreszcie magdalenkowy rok 1989 z jego kolejnymi mutacjami. Ten kontredans trwa nadal, zmieniają się tylko buźki na fotkach i ekranach, ale skansen ma się doskonale. W filmie „Lot nad kukułczym gniazdem” pacjenci, patrzą ze zdumieniem jak indiański siłacz rozwała ścianę ich domu wariatów i ucieka w siną dal, lecz żaden z nich nie rusza w jego ślady. Jedyne, na co chyba liczą, to wymiana sadystycznej siostry przełożonej na jakąś bardziej ludzką opiekunkę.

Ale przecież nawet najsympatyczniejsza pielęgniarka nie zmieni im obowiązującej diagnozy i procedur leczenia, a jąkała, któremu w chwili „odczarowania” na chwilę ustąpiła ta dolegliwość, po naprawie muru znów zacznie się jąkać. Kto dał sobie wmówić że jest wariatem, kto nauczył się z tym znośnie żyć, ten już tak zostanie w obrębie azylu, w jakim go osadzono. A że azylem tym może być całe państwo? – cóż, może o to chodzi tym, którzy go zbudowali i nadzorują?

Nawiasem mówiąc, książkę Giedroyć, zzymając się na dwie polskie trumny, sam „dostawił” do nich własną, czyli mit o pożądanym kształcie Europy Środkowej i Wschodniej. Pomysł ten, niezwykle nośny emocjonalnie jako obietnica wielkości przyszłej Polski, z wielu powodów jest po prostu bezsensowny. Lecz to już jest temat na osobną bajkę...